№ 9.

WARSZAWA DNIA 18 Lutego / 2 Marca R. 1867



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Kope ta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

X.

NABOŻEŃSTWO.

Na drugi dzień wszyscy Wyszyńscy i inni sąsiedzi wyruszyli pieszo do parafjalnego kościoła, bo tak ślubowali żeby nabożeństwem więcéj przyczynić skuteczności. Szli poważnie podpierając się kijami, mężczyzni przodem a kobiety za niemi, a gdy ścieżyna weszła między połanki szlacheckie wijąc się wśród kłosów zwilgoconych rosą poranną, to na zagonach Porębskiego, każdy z podwójną pilnował się ostrożnością, żeby nawet jednego kłoska nie stargać albo nie zniszczyć. Idąc śpiewali ciągle nabożne pieśni, naprzód: Straszliwego majestatu Panie, potem: „Gwiazdo morza“ a w końcu zaczęli litanją do wszystkich świętych, którą czytał z książki pan Marcin, a inni gromadnie odrzekali, módl się za nami: — albo: — przyczyń się za nami według tego jak wypadało. Pomiędzy śpiewami gdy nastała przerwa, wszyscy zagłębiali się w medytacjach, rozważając sprawy Boże i znikomość ziemskości, albo poważne prowadzili rozmowy, choć białogłowy radeby były trochę poświegolić, bo w intencyjnem nabożeństwie każdy moment czasu przynależało uczciwie i pobożnie spożytkować.

— Jakoś tego roku, Bóg znaczy urodzajem— odezwał się jeden z Wyszyńskich — aby tylko pokup był na ziarno, to by się ludziska trochę poratowali

— Na wywiedzenie się jaka będzie cena zboża — odrzekł p. Wojciech to mam sekret wypróbowany.

— Ejże! — mruknął z przekąsem drugi— czyście go od proroka zachwycili?

— Nie od proroka, ale od rodzica jeszcze i dziada co nawet w statecznych swych latach, nie wystarzeli się z rozumu, i praktykowali nim do końca swego żywota. Otóż oni mawiali, że jak tknie zboże ozime, to należy po kłósku językiem pociągnąć i jeżeli poczuje się słodycz, to będzie drożyzna, bo słodycz ta znaczy że na kwiat padła miodnica, co mu wiele zaszkodzi i plon będzie mały. W nieurodzaju zaś czy w urodzaju, gęba jednako łaknie, gdy więc mniéj chleba po świecie, to nacisku do niego więcéj, więc kto krzepniejszy w worku, to nim sztukuje, sadzi się, przepłaca, aby być w ciżbie między pierwszemi.

— A to może być —odezwał się ten co to z przekąsem napomknął o proroku — starych rozum to jak miód stary, co im w dalsze idzie lata, nie wietrzeje ani kwaśnieje, ale się ulepsza i gruntownieje.

— A widzicie — odezwał się z tryumfem pan Wojciech — a wyście mi śratanie się z prorokiem zadawali.

— No, nie wiedziałem że tak jakoś to rozumnie wyprowadzicie.

— A czyście nawykli do głupiego mego pytlowania językiem?

— Dajta pokój sąsiedzi — odezwał się jeden ze starszych Wyszyńskich — w naszéj intencji nie przystoją takie przygryzki i przekamarzanie.

Idziem na modlenie się, to godzi się i oczy i język strzedz religijnem poszanowaniem.

Skonfundowaui tak rozumnem słowem przez starszego, oba troszkę powaśnieni zaraz umilkli, a gdy pan Marcin rozpoczął litanją do wszystkich świętych, odpowiadali przykładnie z całą gromadą i w takiem nabożeństwie przeszli wieś całą i weszli do kościoła. Tam na dwie zaraz rozdzielili się strony, zasiadając ławki a gdy ukończyli litanją, żeby po próżnicy czasu

nie psować albo nie zatruwać go lataniem myśli po różnych stronach, rozpoczęli zaraz różaniec, mieniając się w śpiewie z kobietami.

Razem prawie z ozwaniem się dzwonka na wyjście Mszy św. wszedł do kościoła Porębski, blady, wymizerowany, przykurczony, że i ptak z żalu zapłakałby nad jego zmartwieniem. Doszedłszy powolnym krokiem do schodków przed wielkim ołtarzem, padł na kolana z prędkością jakby mu je kto nagle podciął, a potem wyciągnąwszy ręce w górę zawołał wielkim głosem:

— O! Matko najświętsza, o! Pocieszycielko strapionych, o! Matko bolejąca, ratuj... ratuj.... spojrzyj łaskawie na mnie grzesznika.... daj memu dziecku zdrowie.... daj nam ojcom pociechę.... Matko łaskawa! — I z ostatniem słowem układł się cały na kamiennéj posadzce, rozkrzyżował ręce i całując ziemię jęczał i rosił ją serdecznemi łzami.

Wyszyńscy widząc taką boleść, wszyscy jak na rozkaz jaki wyruszyli z ławek mówiąc głośno:

— O! Matko najświętsza, a daj mu pociechę. Potem otoczyli wieńcem korzącego się w prochu ojca, i zaczęli śpiewać gromadnie: Kto się w opiekę odda Panu swemu. Kościelny chcąc także usługą jaką przyczynić się do nabożeństwa, rozdał zapalone świece Wyszyńskim, gdy więc zajaśniały płomyki, zdało się że w każdym z nich wyglądała główka aniołka i migocąc jasnością patrzyła ku niebu, żebrząc ratunku i miłosierdzia. Porębski leżał jakby martwy, tylko łkaniem świadczył, że cierpi boleść nad boleściami.

Po ostatniéj ewanielji i przeżegnaniu, Proboszcz głośno odmówił modlitwę z prożbą o zdrowie chorego. Kiedy wreszcie wszystko zakończono i pogaszono światła, a organista zawodził pieśń o Zwiastowaniu, Porębski podniósł się z ziemi na kolana i załamawszy ręce, pozostał tak chwilę z głową kornie przychyloną. Wreszcie powstał otoczony całą gromadą Wyszyńskich, i wolno poważnie wyszedł z kościoła. Na cmentarzu przystanął i zwracając się do sąsiadów rzekł głosem spokojnym:

— Bóg wam zapłać panowie bracia i sąsiedzi, za pociechę jakąście mi ofiarowali. Na dowód jak sobie ją ważę, chylę czapką ku ziemi z podziękowaniem jakby do waszych nóg co się nie wagowały w takiéj okazji, mitrężyć nie po swoim interesie. Boska wola to nasza rola, złe i dobre zarówno idzie od Boga, a cokolwiek Bóg człowiekowi przeznaczy, to go nie minie. Jak wypadnie z mojem dzieckiem, trudno wróżyć — i w tem miejscu usta mu zadrgały jak w zimnicy, ale w prędce uspokoił się i mówił daléj ze spokojem: — co ma się spełnić na mojéj krwie rodzonéj, to się spełni: rękę śmierci uzbrojoną kosą i do zamachu wyszykowaną, tylko anioł wysłannik Boży zatrzymać może. Czy niebiosa roztworzą swe bramy dla takiego posła, tego nieprzewidzi okiem, uchem nie wysłucha ani myślą nie wymiarkuje... ale w téj śmiertelnéj trwodze, co mieczem Damoklesa wisi na włosku nad moją głową, co niby jak Jakób patryjarcha z własnego syna mam składać ofiarę, pociechą wielką wasza sąsiedzi życzliwość i zapomnienie wszystkiego, czem wam nieraz może zaskwierzyłem....

— Dajcie pokój sąsiedzie—przerwał pan Marcin—zaskurzenie zostawmy na stronie, boć to nie kwiat co wyrasta na ogrodowéj grzędzie, ale chwast paskudny, gorszy od ostu i pokrzywy. W dawności między nami różnie bywało, ale pono wyście częściéj niż my z naszego przyczynienia pod wozem leżeli. Kiedy więc opatrzyliśmy się w sumieniu, zabaczmy co było a pamiętajmy na tego Boga jedynego, co nam wszystkim ojcem a przy sądzie ostatecznym straszliwym acz sprawiedliwym będzie sędzią.

Jeszcze więcéj w ten sens prawili, pragnąc duchem Porębskiego przekonać, że oni więcéj od niego winowaci, ale ten wciąż składał się i winę kładł na swoje barki, jakby zmartwienie o dziecko mało na nich ciążyło. Wyszyńscy też ustąpić nie chcieli a choć z Porębskim byli we wszelkiem umiarkowaniu, i znali respekt jaki przystoi bolejącemu jego ojcowstwu, to między sobą o mało nie przyszli do zwady. Jeden bowiem p. Wawrzyniec rzekł, że całego galamatjasu narobił pan Marcin najzawziętszy ze wszystkich; pan Marcin co lubił kazanie ale tylko z ambony, dmuchnął mu ostrem słowem że aż p. Wawrzyniec poczerwieniał, i potem odmuchnął mu przytyczką o pilnowaniu swego a nie cudzego nosa.

— Co mi tu nos przypominacie! — zawołał pan Marcin już więcéj z gorączką — czy to ja dzieciuch albo młokos? Matki ręce nim się zaprzątały, ale wam wara od niego.

— Hola! hola sąsiedzie — przerwał pan Wawrzyniec — za ostro se poczynacie. Wara albo nie wara, bo przecie nie z ręką pojechałem do waszego nosa, a wasz przykaz schowajcie dla siebie.

— Co i jak mam chować to lepiéj znam od was— syknął pan Marcin — bo ja dziatki swoje wyhodował nie do zbytków, nie na dokuczanie, ale do pracy i statku.

— A cóż to nasze hajdamaki czy bisurmany? — zapytała z zapyrzeniem pani Wawrzyńcowa — nie przechwalajcie się tak ze swemi, boć znają ich wszyscy, że to bębny wielkie zakuczniki....

— Doprawdy? — wrzasnęła pani Marcinowa — i w czemże to wam tak zakuczyli? — W czem? — W czem? — i mówiąc to przytupywała nogą jak w stępie gdy się tłucze proso na jaglaną kaszę.

— A nie oberwały to nam wiśni?

— A wasze nie okulawiły nam kaczora, że aż go lekować musiałam.

— To wasze.

— Nie! to wasze.

I w ten sens jak zaczęły kobiety wydmuchiwać swoje żale, tak na pewne byłyby małą iskrę gniewu rozdmuchały w wielki pożar, ale Wyszyńscy nie dopuścili takiego despektu, i zaczęli zaraz uspakajać obrażone matki, co jak koguty z napyrzeniem przyskakiwały do siebie. Florjan Wyszyński zobaczywszy jednak, że to zgody nie przywraca rzekł:

— A bójcie się Boga: jeżeli nie zważacie na ludzi, nie szanujecie strapienia i smutku ojcowskiego, to zważajcie na święte miejsce na jakiem stojemy i nie posponujcie go światowemi sprawami. Toć poganie szanowali groby, a wy macie być gorszemi od pogan? W gniewaniu waszem nie ma dziwu żadnego, bo macierzyńskie serce, ostre słowo na dziecko, gorzéj jak nożem kraje i kaleczy; ale w naszem zebraniu w tak

świętéj intencji, należy iść z rozumem a nie z popuszczeniem wodzy gniewowi.

— To prawda, to prawda — zawtórzyli Wyszyńscy — żal choć dolega ale zawsze nad językiem straż powinien trzymać, żeby język zbyt skory do gwałtowności, nie przyniósł mu wstydu.

— Ja to wiem dobrze — odezwała się pani Marcinowa — ale pocóż sąsiada nazwała dziatki moje bębnami i zakucznikami?

— A dlaczegożeście okulawienie kaczora na moje dzieci włożyli? — zapytała pani Wawrzyńcowa — moja sąsiadko to zawsze boli.

— Ja wiem że boli moja sąsiado, ale zawsze kaczor mniéj znaczy jak bęben i zakucznik.

- No jużci, co prawda to nie grzech. U matki w sercu to dziecko pierwsze jak świat cały...

— Oj! kochanie i radość i szczęście...

— Prawda, prawda moja sąsiado, to też nie pamiętajcie co gęba rzekła w zapamiętałości.

— Chętnie moja sąsiado, chętnie, i wy darujcie krewkości języka.

Przy tych wyznaniach kobiety sięgnęły rękami ku oczom, powzdychały, pożaliły się jeszcze, a w końcu na piękne popłakały się tak, że pan Marcin z Wawrzyńcem musieli fuknąc na swe kobiety, żeby nie stroiły dziwów i ludziom nie pchali się w oczy. Potem całą kompanją ruszyli wszyscy z Porębskim, w karczmie przystanęli na chwilę dla pociechy i pokrzepienia ze składkowych pieniędzy, a potem ze śpiewaniem szli prosto drogą ku Wyszyńcom. Przed samą wsią pod figurą czekała na nich dziewka Nastka od Porębskich, z doniesieniem, że chory po śnie twardym w którym spocił się jakby go kto wodą oblał, zupełnie przyszedł do przytomności i zażądał rosołu z kury, i że pani Porębska widząc w tem oczywistą łaskę Bożą, uproszoną nabożeństwem odbytem na podziękowanie panom sąsiadom Wyszyńskim, zaprasza ich na barszcz z rurą i kiełbasą, aby mogła radość swoją podzielić z prawdziwemi swemi dobrodziejami i uczęstować na co stać ich chudopacholski dworek. Porębski aż się rozpłakał z radości, potem zaczął wszystkich ściskać i całować i choć się Wyszyńscy wymawiali, że w zamięszaniu domowem przez chorobę, nie wypada im natrętnością naprzykrzać się, ale Porębski nie chciał słuchać o niczem i póty prosił i molestował, aż się wszyscy zgodzili na odwiedziny.

U chorego młodość przemogła zapędy śmierci. Znaleźli go z sił opadłego, ale uśmiechniętego i rozweselonego. Każdego z nawiedzających ucałował w rękę, dziękując za pomoc religijną i posiliwszy się znowu usnął. Wyszyńscy pożywiwszy się i pogwarzywszy pożegnali się z Porębskiemi i od tego czasu w Wyszyńcach nastała święta zgoda, jaką Bóg wszystkim ludziom przykazał. Porębski wprawdzie las oddał do wspólności, ale użytkowano odtąd z niego po gospodarsku i we wszystkiem radzono się Porębskiego, bo przekonano się, że w jego jednéj głowie więcéj rozumu jak w ich wszystkich.

(d. c. n.)

Korrespondencja z Paryża.

Wyszły w roku bieżącym nader ciekawe studja statystyczne o państwach europejskich, dobitnie wykazują ważność pracy, która choć oparta na zimnych cyfrach, pod działaniem rozwagi staje się zdumiewającą w swoich wypadkach, czasami nawet proroczą. Dlatego im społeczność więcéj wykształcona i spojona z władzą, tam statystyka lepiéj rozwinięta i dokładniejsza, tam wszystko widomieje niejako wskazując niemal palcem, co rozwija się w kierunku pożytku a co w kierunku przeciwnym. Jest więc ona jak ciepłomierz, znaczący najmniejszą zmianę powietrza, niby giełda zniżaniem i podwyższaniem kursów, opowiadającą najdelikatniejsze drgania polityczne.

Ktoby na przykład przewidział, że plemie tureckie takim obszarem chrześcjańskiéj ziemi władające, przeznaczone jest przez stopniowe zmniejszanie się ludności prawdziwie muzułmańskiéj, na konieczne zniknienie z europejskiego lądu. Cyfry jednak wykazują to dosyć jasno, a byłyby jeszcze jaśniejszemi, gdyby w Turcji statystyka dokładniéj była prowadzoną, gdyby można posiadać wykazy urodzeń i śmierci. Widocznie powietrze europejskie posiada dla ludów Turańskiego pochodzenia, własności trujące. Obyczaj, zwyczaj, konieczność, trzymające ich jak brytanów na uwięzi, niedopuszczające włóczęgi i dalekich wypraw, zabijają ich pomału, nikczemniąc jak owe lwy i tygrysy zamknięte w menażeryjnéj klatce. Dawniéj było co innego. Dawniéj chorągiew proroka strachem przejmowała całe chrześcjaństwo: szelest jéj fałdów drżeniem napełniał najmężniejsze serce, a na okrzyk Ałłacha i Mahometa, truchlały ludy kryjąc się w najtajniejsze zakątki leśne. Z dalekich wypraw przypływało rozliczne bogactwo, Turek ozłacał się niem i delektując tytuniowym dymem, marzył o hurysach raju Mahometa. Ale nad złoto i drogie kamienie, najdrogocenniejszą zdobyczą dla osmańskiéj społeczności, były tłumy niewolników, których tysiącami sprzedawano na targach Konstantynopola. Każdy niemal Turek posiadał chrześcjańskiego niewolnika, haremy baszów i sułtana napełniały się pięknemi brankami, a niejeden z wojennych jeńców przychodził do godności, władzy i znaczenia. Słowiańskie zatem sąsiedzkie prowincje, były jakby spiżarnią dla tureckiéj paszczy; trzeba im było krwi chrześcjańskiéj, aby ożywić, podsycić własną, zastygającą w kleszczach Koranu, więc łaknęli jéj, szukali i gonili w dalekie wyprawy. Fatalność ta zmuszając do ruchliwości, dawała im życie a światu postrach, gdy więc bać się ich przestano, gdy ściśnięto ze stron wszystkich, gdy trzeba było rozwijać się samym przez siebie bez pomocy chrześcjańskiéj ludności, gdy więc brakło niewolników i niewolnic i ochotników do przechodzenia na islam, społeczność Osmańska zaczęła zmniejszać się i nikczemnić i w krótce nawet bez opieki życzliwych przyjaciół, rozłożyć się musi sama, znikając z kretesem z europejskich posiadłości.

Jest to proste następstwo cywilizacji chrześjań-

skiéj, utrzymującéj ducha ludzkiego w ciągłéj czynności, pnącego się na wyżyny myśli bez końca i ograniczenia. Koran wszystko wyłożył plastycznie, przepisami, naukami zastrzeżeniami, i zniszczeniem wolnéj woli w człowieku, z wyznawców porobił machiny które dopóty funkcjonowały, dopóki podsycały je obce pierwiastki, krwi i cywilizacji europejskiéj. Chrystjanizm pragnął ludzi uczłowieczyć, rozgrzać ich serca wielką miłością Syna Bożego i roztworzył swym wyznawcom drogę od ziemi do nieba, długą jak wieczność a tajemniczą jak jéj natura. Mahomet pragnął z rozsypanych ludów po azjatyckich i afrykańskich stepach, utworzyć wojowników a z nich społeczność jednolitą. Ducha więc społecznego ograniczył ideą ziemską, bo go nie stać było na coś wznioślejszego, duch ten więc rozwinąwszy się w ciasnych szrankach ziemskości, nie mając siły do potargania więzów granitowéj konieczności, pomału zamiera, karłowacieje jak roślina co korzeniem sięgnęła opoki. Społeczność zatem turecka musi zniknąć, bo człowiek nie jest samem ciałem ale i duchem, a gdzie duch zamiera tam i ciało w proch się rozsypuje.

Z tych to powodów w chrześcjańskiéj Europie, ideę coraz nowsze jak taranem walą w ustrój społeczny, mnożą się nowe pojęcia, wyobrażenia, W Turcji wszystko inaczéj się dzieje; społeczność wraz utworzonym porządku, przezuwa, trawi, pędzi żywot i prowadzona Koranem jak na arkanie, nie pojmuje zmian, procesu myśli, postępu, cywilizacji. Nowości nie pragnie żadnych, bo Koran wszystko przewidział, wszystko wytłómaczył na wszystko dał formułę gotową. Każdy według niego ulega nieubłaganemu przeznaczeniu; co więc ma się stać to się stanie, choćby człowiek mur głową przebił albo sięgnął nią w niebiosa, Nauka niepotrzebna, tylko obałamuca, precz znią! Koran także wytłómaczył co człowieka czeka w zaziemskiem jego życiu, jakie jest niebo dla wybranych, jakie jego rozkosze, radości i szczęście, i jak wypełniać przepisy Koranu aby się dostać do tego upragnionego raju. Precz zatem z nauką, i jak niegdyś Omar zrobił z bibljoteką Aleksandryjską skazując ją na płomień, tak samo dziś Turcy ciskają potępienie na wszystko co potrąca o naukę. Nigdzie też nie ma żadnéj zmiany, żadnego postępu, organizacja wiecznie jedna, jeden porządek, jeden systemat, wieczne odpychanie wszelkich nowości, a jeżeli jaka przyjmie się czy to w finansach czy w wojskowości, to tylko przez ręce i głowy Europejczyków, podtrzymujących trupa żeby niezesztywniał i nierozłożył się. Czyż więc taka społeczność w obec rozwoju Europejskich idei może się utrzymać? Statystyka wybornie na to odpowiada.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

Zabawne przepowiednie dawnych kalendarzy: *tu i owdzie na deszcz grozi*: *burza*, *miejscami pogoda*; *powietrze mroźne a stronami śnieg pruszy i odwilż*, zostawiające zawsze możność ocalenia sławy proroka autora, wybornie dałyby się zastosować do zmienności obecnéj pory, Wszystkie bowiem te przejawy atmosferyczne, czasami w jednym dniu nas napastują. Fraszka z pogodą i ciepłem wiosennem choć występującemi nie według odwiecznego programu: ale jak przyjdzie klapać się w błocie, zasłaniać oczy przed deszczem i śniegiem a nogi chronić od zamotania w fałdach powłóczystych sukien, wymyślonych widocznie na udręczenie mężkie za grzechy całego żywota, to przytul uszy i zmiataj choć za dziesiątą granicę.

Podobnéj niestałości pogody doświadczamy ciągle, i czasem rano mamy deszcz jesienny, w południe wiosnę a w nocy mróz, na wpół siarczysty.

Dnia 17 Lutego byłem na wsi. Rano w marsowym przystroju, z dubeltówką i torbą na plecach wyruszyliśmy do lasu, żeby zającom napędzić strachu albo skroić kurtę według zdarzenia i okoliczności. Psy szczekały radując się z wyprawy, lasy szumiały echem myśliwskiéj wrzawy, słońce przygrzewało jak w maju, a obecne panie żegnając nas mówiły wzorem matron rzymskich; wracajcie z pełnemi torbami, albo nie pokazujcie się wcale.

— O! zacne siostry — odrzekłem potrząsając dubeltówką.

— O! zacne siostry, dla was nie ulęknę się nawet stugłowego smoka, przez was stanę się nowym pogromcą Wawelskiéj poczwary, a z wami pójdę wszędzie, na koniec świata, choćby do nieba.

I zwyczajem średniowiecznych rycerzy, przychylając głowy chciałem przyklęknąć, celem przyjęcia barw myśli pani swojego serca, nawet już westchnąłem, przycisnąłem rękę do piersi, przewróciłem oczami melancholicznie i szepnąłem cicho jak trzepot motylich skrzydełek, albo tajemna rozmowa kwiatków, świeżo z pączka rozwiniętych:

— Och! pani...... gdy w tem cóś mi koło ucha

brzęknęło, obejrzałem się, a tu pęc! i uczułem kolący pocałunek pszczoły. W ferworze rycerskim, cały zajęty galanterją i nadskokami dla odprowadzającego nas niewieściego grona, nie uważałem, że pożegnawczy przystanek zrobiliśmy w pobliżu uli, w których rozbudzone ciepłem dogrzewającego słońca, wyroiły się pszczoły rozbiegając się radośnie po całym ogrodzie. Później spotykałem je bujające po lesie, na szczęście nie tyle złośliwe, ale brzęczące i fertyczne jak w śród lata. Na drugi dzień mieliśmy rano deszcz, gęsty jak przez sito, od południa zaczęło ziembnąć a wieczorem chwycił przymrozek, i pokrył pola i łąki ostrą jak szpilki grudą. Następnych dni znowu nas cieszyły i martwiły te same zmiany powietrza, a w téj chwili kiedy to piszę, na zmarzłą ziemię pada śnieg gęsty wróżąc wyborną sannę. Według zdania doświadczonych gospodarzy, to wczesne rozbudzenie się pszczół i do tego z tak złośliwym ferworem, ma być wróżbą powrotu zimy mogącéj się przeciągnąć aż do Maja. Gość to wcale niepożądany, ale na to nie ma sposobu.

Ale co słychać w świecie zapytacie? O! wiele, bardzo wiele.

W teatrze mieliśmy przedstawioną operę nową p. t. Rybak w Palermo, bardzo względnie przyjętą przez znawców i krytyków muzycznych. Jest to opera pełna życia i wesołości, libreto napisał p. Chęciński, a p. Grosman Warszawianin ułożył muzykę ze zręcznością i gustem zapowiadającym talent, przy sprzyjających okolicznościach mogący się bardzo świetnie rozwinąć. Życzę mu tego całem sercem, zwłaszcza że tylko Dobrzyńskim Moniuszką i Minchejmerem możemy się przed światem prawdziwie pochlubić.

Oprócz téj operowéj niespodzianki, miał miejsce koncert p. Frimiana skrzypka rodem z Lublina, i p. Lietolffa fortepjanisty, na którym popisywał się skrzypek p. Górski znany już pochlebnie publiczności Warszawskiéj. Koncerta p. Bilsego w resursie obywatelskiéj na zmartwienie prawdziwych lubowników muzyki, kończą się bez nadziei podobno prędkiego ich ponowienia. Szkoda, wielka ich szkoda, jest to bowiem rozrywka obok teatrów, nie mająca sobie równéj.

Prelekcje profesorów Szkoły głównéj idą przepisanym porządkiem. Najliczniéj z nich zgromadza p. Henryka Lewestama o literaturze XIX wieku jako poświęcona przedmiotowi najwięcéj interesującemu i wykładana z całym talentem profesorskiéj wymowy. Ożywienie przedmiotu umiejętnem zestawieniem treści, wyborna deklamacja, głos dźwięczny i donośny, są to warunki niezbędne dla publicznych głosicieli nauki, a dary te w wysokim stopniu posiada p. Lewestam. Nic więc dziwnego że ściąga do siebie słuchaczy więcéj jak inni, bo każdy z przybywających jest pewny, że nie tylko bez znużenia zajmie uwagę, ale i nauczy się jak tego spodziewał się i pragnął. O prelekcjach publicznych naszych profesorów, pisma codzienne zwykle dość obszernie mówią, ale brak im krytycznego ocenienia jakiego domagać się mamy prawo. Są to zwykle sprawozdania, trwożne, nieśmiałe, streszczające wykład, chwalące ale go nie rozbierające. Jeden tylko Przegląd tygodniowy p. Wislickiego dorywczo występuje z niezależnem zdaniem, ale nie zawsze je usprawiedliwia obszerniejszym wywodem. W przeglądzie jego prasy perjodycznéj często znajdą się zdania i uwagi bardzo sprawiedliwe. W ostatnim numerze rozpisał się w obronie literatury, sztuki i nauki na zachodzie, lekkomyślnie i z lekceważeniem traktowanéj przez niektóre nasze organa.

Lękliwi powiada i pobłażliwi względem swojskich wielkości, ostrożni aż do czczości w wypowiadaniu zdań o książkach, dziełach sztuki, lub społecznego u nas interesu, stajemi się zadziwiająco zuchwali, otwarci do nieprzyzwoitości, jeżeli tylko idzie o pisarzy i ludzi zagranicą przebywających. Gdyby kto przez okulary naszych pism chciał patrzyć na Zachód Europy, widziałby jako starca przeżytego, opędzającego życie resztkami przeszłości. Cywilizacja Zachodu jest zgniłą a literatura konającą..... Gdybyż przynajmniéj pisma nasze były konsekwentne, gdyby mordując francuzkich i niemieckich pisarzy, po stokroć razy dowodząc ich jałowości, wyczerpania-zdrożności, gdyby niekorzystały z ich prac i inteligencji. Ale gdzie tam! Weźmy naprzykład nasze pisma, czemże są one? Oto naśladownictwem albo tłumaczeniem zagranicznych artykółów...

Żywiąc się więc okruchami obcych, będąc raczéj wielkim aparatem przeżuwania niż wytwarzania samoistnego, prasa nasza nie wacha się rzucać kamieniami na tych, bez których istnieć by nie mogła. Jak to nazwać? co o tem sądzić? zostawiamy uznaniu czytelnika!

Ponieważ p. Wislicki w zrobionym zarzucie nie wyłączył Tygodnika Mód, zmuszony więc jestem wystąpić w obronie jego i zwrócić uwagę p. Redaktora, że organ nasz zawsze szanował i szanuje cywilizacją Zachodu, i bez porównania więcéj drukuje artykułów oryginalnych jak przyswajanych z obcego.

Pieśń żniwiarzy.

Kto wespół z Bogiem, siéje w jesieni,
Sieje z ufnością złote swe ziarno,
To temu w lecie Bóg skibę czarną,
Plonem zieleni.

A gdy dojrzewa już plon na łanie,
Zasłoń nas Boże od wichrów, gradów,
I od posuchy i od owadów,
Ochroń nas Panie!

To też przy orce, siejbie i zbiorze,
Każdy podróżny z najdalszéj strony,
Woła, mijając wiejskie zagony,
O! szczęść wam Boże!

O! szczęść wam Boże! od wieków wieka,
Mówią rolnikom przy pracy w ziemi
Bo Bóg połączył węzły świętemi
Z rolą człowieka.

Jan Prusinowski.

O UBIORACH.

Widzieliśmy w tych czasach u sióstr Siarczyńskich kilka bardzo ładnych sukien, przeznaczonych na obrzęd weselny; opiszemy je po kolei zacząwszy od sukni panny młodéj.

Suknia ślubna biała z bardzo cienkiego tarlatanu, długa, powłóczysta — miała u dołu prosty obrąb, a nad nim trzy rulony białe atłasowe. Pod spód szła spódnica atłasowa równéj długości. Stanik wycięty przybrany był draperją przepiętą w środku bukietem z kwiatu pomarańczowego. Welon illuzjowy przystrojony podwójnym wiankiem z takichże kwiatków dopełniać miał ubranie.

Starsza siostra panny młodéj, mężatka od lat kilku, miała mieć suknię niebieską *poult de soie* (bleu mexique) z falbanką u dołu, z przodu wązką na trzy palce, z tyłu o drugie tyle rozszerzoną. Nad falbanką szła wstawka z białéj koronki kluny naszyta białemi perłami. Wzdłuż spódnicy na przodzie, dana była pięć razy takaż wstawka w bliskich odstępach koło paska, szerszych u dołu spódnicy. Pasek pokryty wstawką, kończył się z tyłu kokardą kluni, naszytą odpowiednio. Stanik krótki wycięty, miał przód ubrany w trzy zęby, taką samą wstawką. Ubranie głowy składało się z kwadraciku kluni, położonego ukośnie, zębem pomiędzy nioby. Cały kwadracik naszyty był perłami otoczony w koło grelotkami z pereł. Z boku wpięty był bukiecik z pączków róży od którego spadały końce z aksamitki niebieskiéj, przytwierdzone kokardką do lewego ramienia, zakończone poniżéj łokcia kwaścikami z białych pereł.

Młodsza siostra, ośmnastoletnia brunetka, miała włożyć suknię białą tarlatanową z dwoma spódniczkami. Pierwsza spódniczka kończyła się u dołu wodą tarlatanową, zwierzchnia przymarszczona w poprzecz na każdym brycie nie miała u dołu żadnego garnirunku; na zszyciu brytów wzdłuż spódnicy, szły w odstępach rulony aksamitne pąsowe, które podnosiły ją w festony. Gałązka fuxji wpięta z boku pomiędzy włosy, stanowiła ubranie głowy. Druga także gałązka na piersiach utrzymywała draperją stanika. Szarfa pąsowa aksamitna z końcami w tyle uzupełniała ubranie.

Dla matki panny młodéj przygotowana była suknia atłasowa, w kolorze orzechowym (marron), krajana w kliny, objęta u dołu rulonem aksamitnym tegoż koloru; na zszyciu brytów szły podobne rulony wzdłuż spódnicy. Stanik pod szyję gładki, spinał się na guziki aksamitne. Wielki kołnierz kluni o pięciu zębach, spadał do połowy stanika, podobne mankiety w zęby wyłożone były na wierzch rękawów. Ubranie głowy składało się z katalanki kluni naszytéj perłami, nad czołem szedł na druciku rulon aksamitny czarny, zagięty w ząb *à la Marie Stuart*, naszyty grelotkami z białych pereł. Po bokach spadały końce kluni. Bukiecik z suchych zmrożonych liści z owocem głogu, wpięty był po lewéj stronie.

Jedna z obecnych pań miała włożyć suknią koloru perłowego, w broszowane bukieciki czarne z kolorem złotym. Rulon czarny aksamitny kończył suknię u dołu. Stanik wycięty, grecki, obszyty był w górze węższym rulonem aksamitnym, i koronką czarną; krótkie rękawki podobnież były przybrane. Stroik na głowę, składał się z rulonu aksamitnego czarnego, z gałązki azalei solferino, i końców koronkowych czarnych, spadających na warkocz. Szarfa czarna koronkowa, opasywała stanik, i spadała zlewego boku.

Przytoczymy na koniec ubranie młodéj piętnastoletniéj panieneczki, przeznaczone na tęż uroczystość. Suknia z gazy Lyonskiéj w drobne paski różowe na tle białem, miała u dołu ruszkę z materji różowéj, wystrzyganą w ząbki w maszynie. Miejsce stanika zastępował gorsecik różowy mocno wycięty bez rękawów, z maleńką baskiną, przepasany szarfą różową z końcami w tyle. Z pod gorsecika wychodziła w górę, wycięta koszulka, czyli modestka tiulowa, z krótkiemi bufowanemi rękawami. Różowa wstążeczka na dwa palce opasywać miała głowę i maleńkie koki, z pod których spadały dwa warkocze długich ciemnych włosów, zakończone takiemiż kokardami.

Do opisanych ubrań, przygotowane były odpowiednie okrywki: panna młoda miała mieć rotondę białą atłasową lekko podwatowaną, obłożoną puszkiem łabędzim; matka jéj biały szal Turecki; do sukni niebieskiéj miała służyć kardynałka gronostajowa; do sukni popielatéj z czarnem, okrywka z białéj koronki zwanéj *Yack*. Panienki miały zarzucić małe pelerynki w formie chusteczek, białe atłasowe, pikowane w kratkę, obłożone puszkiem i podbite marseliną białą.

Nowości zagraniczne.

Les Modes Parisiennes. Suknie tiulowe białe mają wielkie powodzenie téj zimy, dla pań zamężnych robią się na białych atłasowych, dla panien zaś na *poult de soie* tegoż koloru. Ubranie *egipskie* (egiptienne) tworzy się z naszycia wstążeczek lub galoników rozpostartych na rękawach i staniku w kształcie wachlarza, oraz z podobnegoż paska, który otoczon do koła wiszącemi patkami. Na atłasowéj białéj sukni najpiękniéj wygląda tunika biała koronkowa. Śliczna była podobna suknia któréj dół otaczały rozety białe atłasowe z lila środkami. Lila atłasowa szarfa naszyta perłami spadała trzema końcami, rozkładającemi się w kształcie wachlarza u dołu sukni. Na głowie był grzebień strojny lila atłasem i perłami; grzebienie podobnież ubierane bywają kwiatami spadającemi na stanik.

Inna suknia biała *poult de soie* miała spódniczkę krajaną całkiem w kliny, garnirunek u dołu składał się z sześciu rulonów niebieskich atłasowych grubych na palec. Stanik wycięty, naszyty był u góry. ko-

ronką Brukselską na cztery palce, nad tą koronką dana była wązka girlandeczka z niezapominajek, w koło wykroju stanika. Rękawki krótkie lekko bufowane kończyły się takąż girlandką. Na tę suknią szło *peplum* z niebieskiego atłasu znacznie dłuższe z tyłu niż z przodu, bez żadnych fałdów, objęte rulonem białym atłasowym, i koronką Brukselską szeroką na pół łokcia. Staniczek od *peplum* bardzo nizki, zachodzący ledwie do połowy białego stanika, objęty był białym atłasem, i przepasany paskiem niebieskim z białemi rulonikami; od tego paska spadały z prawego boku dwie krótkie i nie szerokie szarfy zakończone koronką na cwierć łokcia. Przepaska z niezapominajek, stanowiła ubranie głowy. Bukiecik z takichże kwiatków, przypięty do lewego ramienia, ładnie odpowiadał całości.

Suknia biała tarlatanowa krajana także w kliny, naszyta była cała w podłuż czternastoma buffami z takiegoż tarlatanu. Buffy te u dołu znacznie szersze, zwężały się w miarę jak dochodziły do stanu. U dołu spódnicy, szła na zakończenie rusza tarlatanowa mocno nagarnirowana. Pomiędzy buffami wzdłuż spódnicy przechodził rulon biały atłasowy gruby na palec. Stanik składał się z dwóch części. Niższa część zupełnie gładka, tworzyła jakby gorsecik z czworogranistym wykrojem zaszuurowany z tyłu. Wyższa część tworzyła wyciętą, nafałdowaną bluzkę. W miejscu gdzie się schodziły obie części, dana była rusza tarlatanowa przechodząca przez przód, przez ramiona i plecy. Pięć swieżych kamelji białych zdobiło tę suknią. Jedna przypięta była na lewem ramieniu, druga spinała pasek po prawym boku, pięć innych szło w odstępach wzdłuż spódnicy, po tejże saméj stronie. Ubranie głowy składało się również z białych kamelji wpiętych pomiędzy włosy.

Suknia także biała tarlatanowa, krajana w kliny, z przodu zupełnie płaska, tylne bryty miała przymarszczone. U dołu spódniczki szło ośm bufek jedna nad drugą, nad niemi zaś przechodziła rusza z zielonego tarlatanu, tworząca jakby wieniec w koło sukni. Cały ten garnirunek podnosił się w górę na przodzie. Stanik gładki, zakończony był w górze ruszą zieloną, przepasany paskiem z zielonego tarlatanu, złożonego w czworo. Od tego paska spadały trzy szarfy zielone z poczwórnego tarlatanu, wązkie u góry, daléj zaś rozszerzone. Dwie boczne szarfy długie na pięć ćwierci, środkowa długa tylko na łokieć, przeszyte były przez środek rzędem margerytek, u dołu każda z nich kończyła się pękiem liści zmrożonych. Pasek spięty był bukietem z takichże liści, pomięszanych z margerytkami dwa odpowiednie bukiety spadały od ramion.

Ubranie głowy składało się z wieńca liści ze spadającą z boku gałęzią, z pośród liści wyglądały margerytki białe. Dopełniał ubrania naszyjnik z zielonéj aksamitki, naszyty margerytkami przewiązany z tyłu na kokardkę, od któréj spadały długie końce. Kolczyki z margerytek ślicznie odpowiadały całości.

Klejnoty dobierają się stosownie do sukien i tak: suknia fioletowa nosi się z perłami, suknia zielona z różowemi rubinami, szmaragdami lub perłami popielatego koloru. Noszą także śliczny strój głowy z korali i popielatych pereł.

Do mniéj strojnego ubrania bardzo używane są naszyjniki z lawy i czarnych perełek, które z łatwością zrobić można w domu przewlekając tak zwaną sieczkę czarną i perełki rozmaitéj wielkości; naszyjniki te noszą nie tylko do stanikow wyciętych, ale i do sukien pod szyję, z tą różnicą tylko że wtedy w miejscu kołnierzyka stanik powinien być oszyty wązką białą koroneczką. Paletoty z tego samego materjału co suknie, utrzymują się ciągle i nie prędko przeminą, gdyż są bardzo praktyczne i wygodne. Zmieniają je tylko na różne sposoby, lecz zawsze rzecz ta sama zostaje.

Opis ryciny kolorowéj.

Pierwsze ubranie. Suknia różowa krepowa krajana w kliny, na sukni różowéj *poult de soie.*

U dołu naszyty szlak w zęby, wielkiemi białemi perłami. Pasek i stanik podobnie naszyte. Od pasa w koło na spódnicę spadają szarfy krepowe, objęte wązką białą blondynką, naszyte perłami. Rękawiczki długie białe, zakończone dwoma rzędami pereł. Na głowie powyżéj niobów, wpięty bukiecik złożony z róży i pereł białych.

Ubranie drugie. Suknia biała tarlatanowa krótka, na długiéj niebieskiéj *poult de soie.* U dołu niebieskiéj spódnicy dana woda z tarlatanu, przepinana niebieskiemi bławatkami. Spódniczka tarlatanowa zakończona w zęby śpiczaste. Każdy ząb przytwierdzony bławatkami. Stanik niebieski *poult de soie* z bertą tarlatanową fałdowaną. W środku stanika i na ramionach bukiecik z bławatków. Szarfa niebieska przewiązana z tyłu.

Śmiéj się

śpiew z towarzyszeniem fortepianu, słowa Floriana muzyka Kazimierza Kratzera.

wykonany na koncertach, z tak wielkiem powodzeniem przez Pana Filleborna, wyszedł z druku nakładem składu muzycznego Gebetnera i Wolfa i jest do nabycia we wszystkich składach nut muzycznych tutejszych i na prowincji po cenie kop. 37 i pół.

Opis drzeworytu,

Figura 1. *Strojne ubranie do teatru.*

Suknia z białéj materji *poult de soie* garnirowana u dołu falbanką 12 centymetrów szeroką, zakończona u góry wszywką gipiurową na różowem podwleczeniu ze wstążki i koronką. Na wierzch spada tunika z różowego *poult de soie* wszyta w takiż pasek, składająca się z pojedynczych klap, które obszyte są naokoło gipiurą, rogi zaś zakończone jedwabnemi kwastami. Krótki stanik wycięty z różowéj materji, ozdobiony jest bertą i rękawkami z bufek illuzjowych i koronki, którą także zastąpić można wszędzie blondyną. Czarna koronkowa chustka zarzucona w sposób hiszpańskiéj mantyli i naszyjnik z pereł lawowych dopełniają to gustowne ubranie.

Figura 2. Suknia z niebieskiéj materji z dwiema spódniczkami. Wierzchnia wycięta u dołu w zęby *en créneaux*, których brzeg garnirowany wązką bufką z białéj krepy i wązką białą blondynką. Berta otaczająca wycięty stanik uzupełniona modestką tiulową i przewleczona niebieską wstążeczką, składa się również z bufki krepowéj, a na ramionach jeszcze raz się łączy bufka węższa naśladująca rękawki. Naokoło berty idzie blondynka podtrzymywana niebieską wstążką; kokardy ze wstążki w mantynie takiegoż koloru spadają z ramion.

KORRESPONDENCJA.

Pani Kamilli So. Szarfy koronkowe do ubrania sukni kosztują rs. 30. W Redakcji znajduje się kop. 98.

Pani Ale. Ostrzy. Od prenumeraty pism zostaje w Redakcji 26 kopiejek. Litery do znaczenia bielizny umieszczone będą.



Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek)

Dodatek do Nr. 9 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 18 Lutego (2 Marca) 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Pan Jerzy potarł czoło i począł z panem Bojarowskim rozmawiać.

Chłód towarzyski powiał niemiło, razem z wykwintną wonią pachnidła, którem namaszczała się pani Bojarowska.

Janina usiadła nazwyklém swojem miejscu w gabinecie, i podjęła robotę. Przysiadł się do niéj major, a potém i Jerzy przystąpił. Pani Nora z salonu na fotelu rozparta, rzucała w tamtą stronę z pięknych oczów niebieskich, raz po raz dziwnie jadowite spojrzenie: widocznie znienawidziła Janinę. Po chwili przywołała brata do siebie.

Objad był późniéj jak zwykle. Po objedzie udała się pani Norą na chwilowy spoczynek.

Panowie poszli na cygara do pokoju pana domu i żeby co do jutrzejszego polowania, stosowne rozporządzenia poczynić.

O szaréj godzinie pozostała się Janina sama w gabinecie a lubiła popatrzeć na dziedziniec i ogród, w obsłonie półdniowéj. Przypadło śniegu, i cała powierzchnia ubielona, malowniczo-zimowy, w téj półjaśni przedstawiała obraz. Podumała, zamarzyła, przeniosła się do Jodłowca, do Złocina, do Meranu.... W téj chwili zaszeleściły suknie jedwabne: weszła pani Eleonora z panią domu, i na małéj kozetce bliżéj filarów usiadły. Janiny widzieć nie mogły — przysłoniły ją za słupkiem, na którym stał wielki aloes, cienie przedwieczornego zmroku, ile że popielatą miała sukienkę.

— Jerzy listy jakieś odebrał — ocknęły zadumaną głośno wyrzeczone wyrazy pani Bojarowskiéj. Czy wiesz, żo on pałac urządza? Robi jakieś zmiany wewnętrzne... Sprowadził rzemieślników... *Il fait des fournitures...*

Janina powstała, by dać wiedzieć o swojéj obecności.

— Myśli się żenić.

Janina weszła do salonu — pani Bojarowska niepowstrzymanie mówiła daléj:

— Ztąd jedzie do Lwowa. Czeka tutaj na list... A to ma cele!

Nie chcąc dalszéj słyszeć rozmowy, Janina udała się do pokoju panien. Słowo Lwów drasnęło ją cierpko.

Gdy wieczorem wszyscy zebrali się w salonie przy stoliku, bliżéj fortepianu, usiadły panny z robótkami. Panie i starsi panowie przy dalszym siedzieli stole. Major po chwili przysiadł się do panien, a za nim i Jerzy.

— Odebrałem co tylko te próbki z Warszawy, i proszę, byś mi pani gustem swoim poradzić raczyła — zwrócił się ten ostatni do Janiny, rozkładając przed nią różne wzory pięknych obić, pluszów, aksamitów i adamaszków. Urządzam mieszkanie.

Janina zapłonęła i spojrzała ździwiona nieco.

Pani Nora od drugiego stołu, znać uważna na wszystko, robiąc grymas jakiś, niby błyskawicą w tamtą rzuciła stronę. Niedostrzegła tego wszelako nateraz mniemana panna Siewońska.

— Panią o to proszę! — powtórzył pan Jerzy z przyciskiem — poradź mi!

Janina, niechcąc niewłaściwą grzeszyć niewiadomością poczęła wzory i próbki przeglądać, Dobierała jedne do drugich — czyniła uwagi różne a major przypatrując się, wyrzekł:

— Bardzo gustownie, bardzo trafnie, powabna złoży się całość. Niby to w rączkach panny Janiny, gdy stosownie dobiera kolorów, wszystko wdzięczniejszą przybiera barwę.

— Wiedziałem przecież od kogo najlepszego zaciągnąć smaku.

— Jak to pani kiedyś dla siebie wszystko ładnie, składnie i z gustem wykwintnym urządzisz! — wymówił major, pochylając się ku niéj.

— Ja? Dla siebie wykwintnie! — i wielkiemi ku niemu spojrzała oczyma — zapominasz panie, żem tylko biedna dziewczyna, że to nie nastąpi nigdy.

— Och, och! Niemożna wiedzieć. Losy różnie zrządzają.

Pan Jerzy powstał, rzucił się na krzesło przy fortepianie i niby od niechcenia przebiegł palcami jednéj ręki po klawiaturze.

— Różnie losy urządzają — odrzekła Janina majorowi—to prawda,—ale najczęściéj... los biednych.. niewiadomo co chciała powiedzieć, bo fortepian melodyjnie zadźwiękł w téj chwili.

Major spojrzał się ku grającemu, potem na Janinę i z uśmiechem powtórzył pierwszą zwrotkę znanéj piosenki, którą właśnie zagrał pan Jerzy.

„Masz perły, masz djamenty,
Co człowiek może chcieć.
Spoglądasz cudnemi oczęty —
O luba, cóż więcéj chcesz mieć!“

Janina pokraśniała i podobno zakłuła się igłą.

— Otóż pan Jerzy nie mógł pani lepiéj odpowiedzieć, jak tą piosenką — dodał major jeszcze.

Panienki z cicha zachichotały, Pani Eleonora podniosła się nagle, stanęła w płomieniach, zmarszczyła brwi, upuściła batystową chusteczkę, którą podniósł pan Radzyński i znowu usiadła.

Pan Jerzy przerabiał piosenkę na różne tony i tempa. Po długiéj dopiero chwili powstał, przeszedł się po salonie, stanął przy drugim stole, rozmawiał; przysiadł na chwilę, przeszedł się znowu i do panieńskiego stołu powrócił. Zajął dawniejszy taburet, dobył pugilares, odbył przegląd próbek, zwrócił z uprzejmym wyrazem parę jeszcze pytań do Janiny, poczynił zapiski a potem zwinął wzory i próbki i na bok je odłożył.

Pani Bojarowska z fatalnym na twarzy grymasem przypatrywała się wszystkiemu.

Po herbacie wzięła brata pod rękę i poczęła z nim chodzić po salonie: potem usiadła na kozetce w pobliżu Janiny, gdy Frania i Adzia żartowały przy fortepianie z majorem i zagadała do niego:

— Więc kiedyż jedziesz do Lwowa?

— Może już za dni parę. Czekam listu, jak ci mówiłem.

— Jednakże... Klotylda, wierzaj mi, odpowiednią dla ciebie jest partją. *Belle aristocratique, bien élevée... et riche*!

— Jest piękną, zaprawdę, miłą... wszystko za nią mówi, i możnaby dla niéj z miłości oszaleć.

Comment donc! — pani Nora przymrużyła oczy— i jesteś, jak Faraon, skamieniałego serca—uśmiechnęła się zadowolona z tego dowcipu swojego.

— Mówię, że jest czarującą rzeczywiście.

Pani Eleonora rzuciła ukośne na Janinę spojrzenie.

— To więc wracaj do Warszawy. *Il faut faire une fin.* Nie znam stosowniejszéj dla ciebie partji.

— Ależ ja znam.

— Kogoż? — uniosła się siostrzyczka — *vous m'intriguez!*

Jerzy się zaśmiał.

— *Dites*! Powiedz-że, kto taki?

— *Une heritière!* Panna Świętoborska z Jodłowca.

Janina zadrgnęła w duszy i niżéj skłoniła czoło a pojąć nie mogła, dla czego pani Bojarowska właśnie obok tę zawiązała rozmowę, jak gdyby umyślnie!

— Panna Świętoborska z Jodłowca— powtórzyła pani Eleonora — słyszałam o téj *heritière*'rze. Ale po cóż zwlekasz? *Vous musez*! Czas tracisz...

— Nie mam do pośpiechu żadnego powodu, *il ne faut pas ecorcher l'anguille par la queue* — uśmiechnął się pan Jerzy. Mówiłem, że czekam na list.

— Więc do Lwowa...

— Jestem w drodze.

— I dla tego tylko karnawałujesz w Warszawie?

— Nie inaczéj.

— Ależ Klotylda!

— Dziedziczka Jodłowca lepszą jest partją.

— *Vous êtes incomparable!* — rzuciła mu na drobnym paluszku całusa.

Pan Jerzy ciemnego pokręcił wąsa. Serce Janiny uderzyło cierpko; nie wiedziała sama co myśleć.

— A ze Lwowa wypadnie ci zapewne do Krakowa pojechać.

— Rozumie się.

— Żal mi Klotyldy.

— Dla czego? Pięknych, bogatych, uwielbianych nie ma czego żałować.

— Ty mnie rozumiesz. Mam dla niéj sympatyi wiele...- Ale jedź i nie odwlekaj!... Jesteś *monsieur Guzdralski.*

— Bynajmniéj. Jestem przezornym tylko. Anglicy mówią. *Mary in haste and nepent in leisure.* Co znaczy po polsku: „Ożeń się w pośpiechu, a pożałuj tego dowolnie, w długich godzinach i latach.“ A nasze dawne, poczciwe niesie przysłowie: co nagle to po diable.

Pani Nora z cicha z bratem szeptać poczęła. Janina powstała, i biorąc Franię pod rękę, wszerz i wzdłuż z nią chodziła zniewalając się do wesołéj gawędki.

Późno wieczorem kilku przybyło panów i późno dopiero uciszyło się wszystko.

Nazajutrz rychło przybyli bliżsi i dalsi sąsiedzi i około godziny dziewiątéj, z hałasem i tartasem, całe wyruszyło polowanie.

Chłód obecności pani Bojarowskiéj spoczął w Zajezierzu na wszystkiem: gawędka nie uchodziła, bo ją paraliżowała jéj naprężoność. Rozmowa urywała się, bo gdy kogo wspomniano, to i zaraz wiedziała coś o nim niekorzystnego, jak to już wiemy. Czytać przy niéj ani podobna było, bo się nudziła. A wiemy także, że gdy Janina grała lub śpiewała, to wtedy rozprawiała najgłośniéj. To wszystko zatém bardzo niemiłe wywierało wrażenie i umęczone były te godziny, zanim panowie z polowania wrócili. Ależ wrócili o zmierzchu. Łowy powiodły się, bo ubito dwóch rogaczy, zajęcy kilkunastu a w dodatku jeszcze i dwóch lisów.

Pan Jerzy ukazał się w salonie z gałązką świerkową w dziurce od guzika, jako dekorowany za strzał najtrafniéjszy, którym z pewnéj odległości króla kniei od razu położył.

Po objedzie ruch i gwar wesoły panowały w salonie. Młodzi panowie wonne kwiatki dwom sypali panienkom, które dziś na raz jeden, na stanowisku dorosłych już ujrzały się panien. Rumieniły się dzieweczki, uśmiech igrał im na ustach i w oczętach, i pewnie to nowe stanowisko nie było dla nich przykrem, chociaż trochę ambarasujące — jak Frania w szczerości serca swojego wyznała.

Janina przegrała jakąś *polkę elegante,* i powstała gdy pan Jerzy nadbiegł i niejako drogę jéj zastąpił. Podjął jeden z kajetów muzycznych i począł mówić o nowszych kompozytorach. Potém o Mozarcie, Hajdenie, o muzyce kościelnéj jéj znaczeniu, powadze uroczystéj i wpływie i rozmowa stała się interesującą wielce.

— Czy pani nie dasz mi poleceń jakich co do nót nowych, lub książek? — zagadał, poważniejszą urywając rozprawę.

— Do Lwowa? — zapytała Janina, mając tylko Lwów i Kraków w myśli.

— Nie, pani — uśmiechnął się Jerzy — jadę za dni parę do siebie, zatrzymam się dzień cały w Warszawie, i mógłbym dane polecenie spełnić.

Janina nieco zdziwione ku niemu podniosła oczy. Chciała niby wymówić, lecz znowu zamknęła usta.

— Pani chciałaś powiedzieć?

Janina zapłonęła.

— Bo wszakżeż... pan miałeś do Lwowa pojechać....

— *George, mon chèr*! — zawołała w tejże chwili pani Eleonora z drugiego końca salonu, spostrzegłszy jego z Janiną rozmowę, — którą przerywała zawsze.

— Zaraz będę ci służył... — zwrócił się znowu do Janiny, mówiąc: wprzódy pojadę do domu. Za dwa lub trzy tygodnie może do Lwowa —uśmiechnął się; zresztą.... żart na stronę: wyznam przed panią, że nie pojadę wcale.

— Ani do Krakowa? — niby ciężar spadł z serca Janiny.

— Nie w tym czasie, i nigdy dla zaszczytu, ażeby się zaprządz do rydwanu panny Swiętoborskiéj. *Ce n'est qu'une farce.*

— Jerciu, *mon chèr*! — wołała znowu pani Bojarowska.

— Spieszę, spieszę, siostrzyczko!... Panią dziwi, że nie myślę uderzyć czołem przed dziedziczką Jodłowca.

— Biedna!— poszepnęła młoda dziewczyna z dziwnym wyrazem.

— Dla czegóż biedna?

— Bo jéj osoba ma pójść w handel z Jodłowcem.... Ale pani Bojarowska już po dwa razy wołała.

— Nic to nie szkodzi! Pani twierdzisz zawsze, że dziedziczka Jodłowca jest biedna?

— Bo serca nie znajdzie — wymówiła z poszeptem, a usta jéj zadrgnęły.

— Ależ Jerciu, proszę cię! *Mon chèr George*!— wołała pani Nora głosem niecierpliwym.

Pan Jerzy lekko skłonił się Janinie i pośpieszył wreszcie na trzechkrotne wezwanie.

— Wybacz — wymówił do siostry —, żem nie pospieszył zaraz. Ale miałem z panną Siewońską zajmującą rozprawę o muzyce kościelnéj, o klasycznéj muzyce niemieckiéj. Mianowicie też co do sławnéj *fugi* Sebastyana Bacha, poczętéj na literach nazwiska jego: B A C H.

Pani Eleonora ramionami ruszyła,

— Mówiłam tym panom, że za dni parę do Lwowa pojedziesz.

— Tak, zapewne. Czekam tylko jeszcze listu.

Janina z rumieńcem podniesionym, z uśmiechem na ustach, przyłączyła się do panien. Już i rozważać nie chciała, co znaczyło twierdzenie pana Jerzego w obec drugich: że jedzie do Lwowa, gdy jéj w cztery oczy powiedział inaczéj... — myśli jéj plątały się dziwnie, a serce nieznaną uderzało radością boć i domyślała się zapewne, jasno i pewno dla czego to czynił!

Nazajutrz w Zajezierzu wielkie było święto. Osób dużo bardzo zjechało.

Frania i Adzia po raz pierwszy wystąpiły w wieńcach różanych, które przy białych sukienkach, białemi przybranych wstążkami, bardzo ładny, świeży i skromny stanowiły ubiór.

I Janina wyglądała ślicznie a nie całkiem zwróciła przytem uwagę, że jest tylko panną Julją Siewońską. Miała suknią z białéj krepy, na białéj jedwabnéj, podpiętą bukiecikami z szkarłatnych werwenów, przybraną koronkami czarnemi. Tak samo był przystrojony i stanik, odznaczający składnie jéj kibić i zgrabne rękawki. Na głowie diadem także z werwenów, na szyi czarna aksamitka spięta piękną broszą koralową; na ręku takież aksamitki z koralowemi spięciami, bardzo ładną stanowiły całość.

Pani Bojarowska w szmaragdowéj sukni aksamitnéj, włożyła na siebie wszystkie brylanty i ozdoby złote, jakie posiadała tylko. Na głowie miała siatkę złotą i piórka z brzegami złotemi. Zobaczywszy Janinę, pokraśniała i cierpko-kwaśnym obdarzyła ją grymasem.

Po wystawnym obiedzie rozpoczęły się tańce. Oczęta Frani i Adzi brylantową świeciły radością: młodziutkie były, cicho a skromnie chowane i po raz pierwszy balowały!

Toćże i Janina raz pierwszy dopiero w tak licznem, strojnem i balowem ujrzała się zebraniu, ale przez intuicją znała świat lepiéj i wystąpienia podobne. Chowała się inaczéj — podróżowała i niby nic jéj obcem nie było.

Pan Jerzy do pierwszego poprowadził ją kontredansa. Stojąca vis—a—vis pani Nora uderzyła ją gniewnym rzutem oka. Ale tego nie widziała wcale, bo widzieć nie chciała, a raczéj nie patrzyła się na swoje piękne naprzeciw.

Uważny partner zaraz podał jéj kresło. Usiadła, on stanął obok i rękę na rzeźbionéj poręczy położył.

— Czy pani umowę z jaką wieszczką zawarłaś? zaczął, przypatrując się jéj sukience.

— Dla czego?—zapytała Janina, podnosząc piękne oczy ku niemu.

— To śliczne ubranie!..

— Och! — zaśmiała się panna — Warszawa dostarczy wszystkiego, a w każdéj głowie niewieściéj jest i nieco fatałaszkowéj fantazji!

— Raczéj poczucia piękna.

— Za wielkie to słowo!.. A jeszcze, jeżeli rzucone z ironią!

— To co?

— Wtedy... byłoby złośliwością.

— Nie lubię ironią wojować.

— Bo to nie zawsze jest broń szlachetna.

— Gdy innéj użyć niepodobna, a gorycz obrony zaczepką wywołaną została.

— Byle tylko nie jako zaczepka drażniąca, kalecząca. Byle prowokacją nie była!.. Więc niechaj się przy fatałaszkowéj pozostanie fantazji — Janina powstała do drugiéj figury.

— Na to nie pozwolę...

Pani Nora z cytrynowym kwasem w ładnych rysach, prześlizgnęła obok Janiny.

— Wyraz fatałaszki jest aż nadto nieestetycznym— mówił Jerzy daléj, gdy znowu w miejscu stanęli.

— To więc powiedzmy... nieco estetycznéj fantazji — zaśmiała się Janina.

— Niechżeż tak będzie.

— Poczucie piękna tworzy sobie ideał, a trudno go stworzyć z koronek, atłasów, lub rajskich ptaków i szychu...

Pani Eleonora już raz drugi na brata skinęła i pan Jerzy nie chcąc na nią zwracać uwagi, zręcznie przemknął poza tańczącemi.

Cóż powiesz? — zapytał jéj.

— *Mon chér*.... uważają.. uważają na tę ciągłą rozmowę z tą panną.. poszepnęła mu.

— Och, *peu m'importe*! Bawię się wybornie zajmującą rozmową—odrzekł musnąwszy wąsika, i na miejsce powrócił.

Pani Nora do uśmiechu, niby miłego, usta skrzywiła.

Pomimo tych wszystkich kwasów, wykrzywień, odwoływań i uwag, pan Jerzy jednakże na nic nie zważał: potańczył z kolei ze wszystkiemi pannami i tanecznemi paniami — polkował jeszcze parę razy z mniemaną panną Siewońską i z nią ostatniego mazura z duszą przetańczył.

Tańczono też aż do dnia szarego.

Nazajutrz opowiadał pan Jerzy siostrze: że odebrał list ów oczekiwany ze Lwowa iże dopiero za dwa lub trzy tygodnie pojedzie.

— *Vous m'exasperez!* — zawołała pani Bojarowska zafrasowana.

— Nic to nie szkodzi, wierzaj mi. Z rozwagą rzeczy robię... Jutro ztąd jadę do domu.

— Ale na Warszawę!

— Nie inaczéj.

— I tam się zatrzymasz!

— Dni parę.

— Będziesz przecie u hrabiny Bojomirskiéj!

— Rozumie się.

— *Soyez precautieux, mon chér!*

— Znasz mnie przecie.

— Ufam tobie.... Powiedz, więc cały pałac restaurujesz i meblujesz?

— Wszakżeż ci już mówiłem.

— Pięknie, *splendide*...

— Ze smakiem ale bez zbytku.

— Ożenisz się przecie bogato!

— Tak myślę.

Po objedzie odjechali państwo Bojarowscy. Pan Jerzy miał nazajutrz wyjechać, ale pozostał się jeszcze dzień jeden. To też panienki korzystając z obecności jego, zaproponowały przejażdżkę sankami. Zgodzono się na to ogólnie i niebawem ładne zajechały saneczki, dywanami okryte.

Janina ubrana, z odrzuconą koronkową zasłoną na szafirowy kapturek, stanęła przy oknie, czekając na panienki, które troskliwa mateczka w drugim otulała pokoju.

Rącze a rosłe gniade konie pana Jerzego niecierpliwić się już poczęły: wyrzucały kształtne głowy, żuły wędzidła i rżały raz po raz, szarpiąc niespokojnie cugle.

— Spieszcie się panienki, bo niecierpliwią się konie! — zawołała Janina.

Pan Jerzy przystąpił także do okna.

— Wypoczęły przez dni parę — wyrzekł — ale Sylwester je utrzyma... Jakiejże maści konie pani najwięcéj lubisz? Czy nie siwki?

— Siwki! — powtórzyła, lecz w téjże chwili przypomniała sobie pana Hilarego — dawniéj siwki najwięcéj lubiłam.

— A teraz już nie?

— Nie.

— Jakież więc?

— Może... może kare — wymówiła bezuważnie.

Panny okutane, jak gdyby do Laponii wyjeżdżać miały, wbiegły do pokoju.

— Wujaszku, jesteśmy!

I w chwili potem z brzękiem dzwonków i gruchawek ruszyły saneczki z dziedzińca. A harapnik trzaskiem ognistym, w mroźnem powietrzu, odgłaszał się raz po raz.

Gdy późno wieczorem major się żegnał i powtarzano sobie nawzajem dobra noc, ozwał się Jerzy.

— A ja panie pożegnam na dłużéj, bo jutro odjeżdżam.

— Czy tak rychło? — zapytała pani Radzyńska.

— Rychło.

— Ale wujcio znowu niezadługo przyjedzie? — zawołała Adzia.

— Wujusiu. — dodała Frania swoim łagodnym głosikiem.

— Bedę tu na ś. Eleonorę.

— My bo zobaczymy się jutro jeszcze — wymówił pan Radzyński i kawę wypijemy pospołu.

Pan Jerzy ucałował rękę kuzynki, pożegnał panienki i przystąpił do Janiny, stojącéj nieco na boku.

— Dobra noc pani — wymówił — i do widzenia! — ujął drobną jéj rękę i nieznacznie do ust ją przycisnął, odwrócony od reszty towarzystwa.

— Dowidzenia.... szczęśliwéj podróży.

Zakłócona w spokoju zwykłym, dziwnie tęschna, ze łzą w oku stanęła Janina w swoim pokoju. Ciężko jéj było na duszy, na sercu, trwożnie lecz i szczęśnie zarazem. Wszystkie jéj myśli i uczucia były zmącone, wzburzone.... „On mnie kocha!“ — poszepnęła w głębi duszy — „kocha!“ — i sama przed sobą wyznała jak wielkiem było jéj dla niego uczucie, jakiéj właszcza w dniach ostatnich nabrało siły. Boć téż i on tyle, tyle okazywał jéj względów, szacunku, współczucia i.... i... — och, była szczęśliwą! Ale miałaż o tém wszystkiem do pani Siewońskiéj i do Julii napisać?.. Och, nie! jeszcze nie!.... Nabawiłaby je niepokoju.... i postanowiła napisać wtedy dopiero, gdy ze strony Jerzego już coś pewniejszego nastąpi,

„Jak się to wszystko pokieruje? — o tém i pomyśleć nie chciała. I tak dzieje się zwykle, bo i któż w chwilach takich rozważa, wnioskuje i rozsądku się radzi?

Długo zasnąć nie mogła. Budziła się, a wtedy szeptała sobie zaraz: „Kocha mnie!“ — Szaro jeszcze było, gdy lekki posłyszała stukot i oddalone głosy..., „On odjeżdża!“ — i żal serce ogarnął.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie